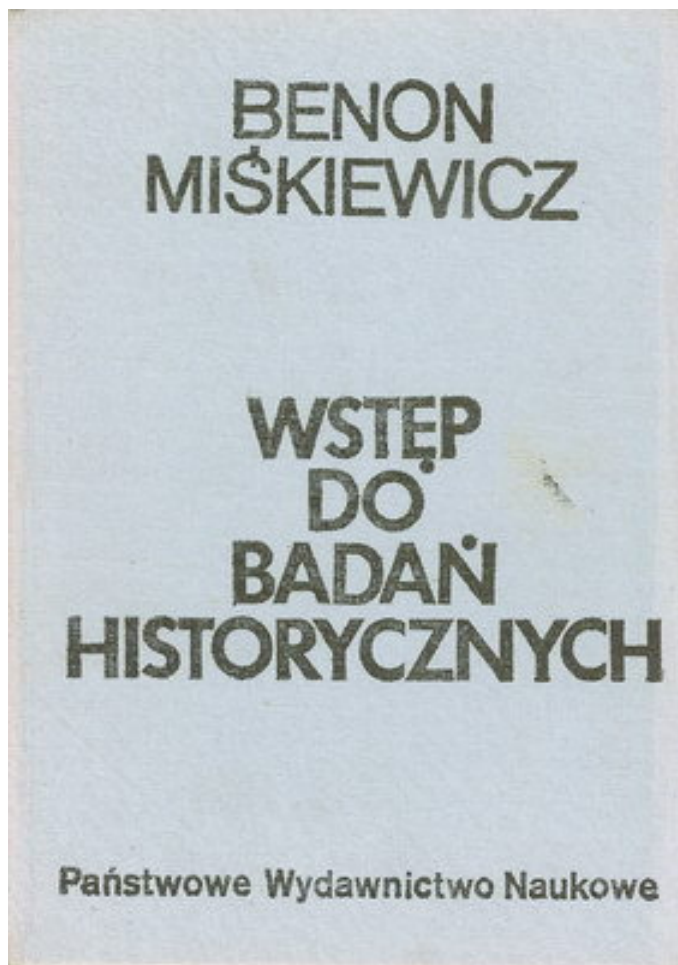


Wycinanki (1)



WOJCIECH

WRZOSEK

Wycinanki (1)

Jednym z pamiętnych epizodów z czasów mojego studiowania były zajęcia z docentem, który wprawdzie nie był specjalistą od wstępu do badań historycznych, ale powierzono mu zajęcia z tego reprezentującego ni to *Historik*, ni to *Introduction* przedmiotu zwanego w kuluarach studenckich „misiem”[1].

Znakomity

znawca kartografii historycznej, dyscypliny rozumianej także jako jedna z nauk

pomocniczych historii, zaskoczył nas podwójnie swoją ekstrawagancją. Po pierwsze, wyłonił grupę liderów intelektualnych roku, organizując kolokwium z Trylogii Henryka Sienkiewicza. Kto? Z kim?, Kiedy? I co? Taka fanatycznie faktograficzna „Wielka Gra”. Pytał nas, jak się nazywał raz tylko w powieści z nazwiska wymieniony osobnik, *de facto* statysta sytuacji, „kiedy to Zagłoba, wychyliwszy, zawołał...? Co wówczas Zagłoba zawołał, nie wiecie? Co wypił? Nie wiecie...?”

Już wtedy wiedzieliśmy, kto ma szansę zostać prymusem. Najlepsi byli ci z nas, którzy zaczytywali się już wcześniej w Sienkiewiczu. Niestety, znali fragmenty z Trylogii nie tak, jak my znamy kultowe fragmenty kultowych filmów. Adorowali ją raczej jak patriotyczną biblię. Dzisiaj twierdzę, że świat fikcji literackiej łączył się z ich skromną wiedzą o tych czasach w jeden synkretyczny mit. Dla moich koleżanek i kolegów opowieść z gatunku *belles lettres* o sarmackiej Polsce to nie była naučka o różnicy między artystycznym epickim wyobrażeniem pisarza a akademickim obrazem epoki.

Problem

„realizm fikcji czy fikcja realizmu” nie był wówczas stawiany.

Pan

docent przepytывał nas boleśnie z Trylogii nie tylko dlatego, że był swawolnie nastawiony do swojej pracy. Już dawno zrozumiał, że studia historyczne to stałe eksploataowanie pamięci. Najlepiej wiedzie się na nich tym, którzy mają

wydolność porównywalną
ze skutecznie studiującym adeptem prawa. Trylogia to dzieło
pełne informacji i dogodnie
skonceptualizowane. Aby je przygotować na kolokwium,
wystarczy, jak się okazało
niebawem, pamięć krótka. Zapełniana po nocach tuż przed
egzaminem i – co nie
mniej ważne – gotowa tuż po nim opróżnić się na przyjęcie
kolejnej potężnej
dawki informacji na okoliczność kolejnych kolokwiów,
egzaminów. Jakiś czas temu
kolega profesor opowiadał mi, że spośród studentów piątego
roku tylko bodaj
kilka procent zdało ponownie test z historii antycznej.
Znacząca część z nich
to byli uczestnicy seminarium magisterskiego z historii
starożytnej.

Wielu

z nas pamięta studia historyczne właśnie jako tresurę pamięci.

Nobilitując

faktografię, sakralizowano historiografię zdarzeniową. Z
zapałem organizowano
testy „z faktografii”, popularnie i otwarcie nazywane
„kolokwium z dat”. Uzupełniano
tę torturę rozumu kolokwiami z lektur. Ich przeczytanie
wymagało siedzenia nad
nimi bez przerwy, opuszczania obowiązkowych zajęć. Kiedyś
trzeba było je czytać
i kiedyś też spać. Wykładowcy akademicy prześcigali się nie
tylko w
sprawdzaniu studentek z wiedzy wymaganej do matury, ale i ze
znajomości danych,
których przydatności nie udało mi się do dzisiaj uzasadnić.

Gałązka

drzewa genealogicznego, wisząca bardzo daleko od pnia, a na

niej trudne do wyartykułowania imię członka starożytnej dynastii. Historyczne znaczenie tej postaci sprowadza się do tego, że w drugiej połowie XX wieku jakaś wykładowczyni akademicka (jak chcą ostatnio niektóre moje koleżanki, aby określać wykonywany przez nie zawód) pozwoliła studentce „wyłożyć się” podczas egzaminu na pytanie o „nazwę gałązki”. Mógłby ktoś pomyśleć, że rzeczony członek rodziny panującej nie odegra już żadnej roli w dziejach. A jednak...

Proszę przyjść, jak się pan przygotowuje, usłyszałem, gdy nie potrafiłem podać daty drugiego wydania *Die Naturgeschichte*... Niedawno w przypisie pracy Georga G. Iggersa natrafiłem na wydanie lipskie z 1935 roku pracy Wilhelma Riehla. Nie wiem jednak, czy to wydanie drugie. I nie będę tego ustalał.

Już wtedy, gdy oblewałem egzamin, żenowało mnie to, że nie musiałem niczego wiedzieć o autorze ani problematyce jego prac, ani czym się zasłużył dla historiografii. Powinienem znać datę drugiego wydania, choć nie było to przecież pytanie o rozwój koncepcji autora na przestrzeni od pierwszego do drugiego wydania ani egzamin z dziejów bawarskiego edytorstwa, ani mecenatu w krajach niemieckojęzycznych w połowie XIX wieku. Egzaminator dopiął swego, zapamiętałem nazwisko i już dzisiaj wiem o Wilhelmie Riehlu

coś więcej... Nadal
sądzę, że ta sytuacja sprzed lat niemal pięćdziesięciu
kompromituje ówczesnego
mojego egzaminatora.

Myślałem
wtedy, że może i miał rację nasz docent od Trylogii, gdy
sprawdzał zdolność do
studiowania historii na głośnych nacjo- i wiarocentrycznych
powieściach awanturnicznych,
zamiast kazać nam nauczyć się „na blachę” tablic
genealogicznych rodów starożytnych
czy też kolejnych wydań dzieł historycznych. A może po prostu
trzeba było nam polecić,
byśmy wyuczyli się na pamięć pięćdziesięciu stron książki
telefonicznej?

Na
szczęście czasy te minęły...

[1] Miś to sprzed wielu lat konfidencjonalna nazwa przedmiotu
dydaktyki akademickiej, wstępu do badań historycznych,
opartego na podręczniku prof. Benona Miśkiewicza, pod tym
samym – i słusznie – tytułem. „Zdać misia” znaczyło zaliczyć
ten przedmiot na podstawie kolokwium czy egzaminu,
niekoniecznie u rektora Miśkiewicza. Natomiast „zdać misia u
Misia” było szczęśliwym zrządzeniem losu.